

Krośnice – 2

6 lutego 2020

Nie jestem w stanie powiedzieć, jak było na innych grupach, ale można założyć, że tak samo. Idiotyczna dyscyplina z kajetem w garści, w którym oceniano zakres ciszy podczas stania, postawę i uległość w wykonaniu poleceń.

Sala Wojewódzkiego Szpitala Neuropsychiatrii w Krośnicach
Byłem parokrotnie wzywany do doktora Kunze na tzw. okresowe wizyty. Lekarz ten zorientował się, że dzięki jego „opiece” mam uszkodzoną wymowę. Bardzo się jąkałem. Do tej pory mam tę przypadłość wyniesioną z Krośnic.

Wysyłano mnie do logopedy. Pokój do ćwiczeń mieścił się obok sali zabiegowej (był to gabinet lekarza Olszewskiego). Niedaleko był gabinet zabiegowy, w którym przebywały pielęgniarki oraz pokój Kunzego z tą maszyną. Było dla mnie katorgą przychodzenie do logopedy nie ze względu na ćwiczenia, a dlatego, by nie natknąć się na doktora Kunze.

Samo zejście na dół, w tę okolicę powodowało we mnie pocenie się i świąd skóry. Potrafiłem poza własną kontrolą podrapać się do krwi. W niektórych wypadkach dostawałem biegunki i torsji ze zdenerwowania, szczególnie dzień, dwa po zabiegu, gdy musiałem zejść na dół. Bałem się.

Byłem przerażony udając się w okolicę zabiegowego. Pielęgniarki wykonywały polecenia lekarzy. Nie było w tym nic osobistego. Dostawały polecenia i wykonywały je, nie zastanawiając się nad sensem tego, co robią. Pamiętam, była tam korpulentna pielęgniarka, czarna, ładna, na nazwisko miała bodajże, Pośpiech. Oddziałową omijałem. Było w niej coś, co wywoływało niepokój.

Chwil radości z Krośnic nie pamiętam. Były to chyba tylko te, gdy Mama przyjeżdżała. Była zapracowana. Z Warszawy do Krośnic

daleka droga. Za pierwszym razem Kunze musiał użyć solidnych argumentów, bym dalej w Krośnicach przebywał. Za drugim Mama zabrała mnie. Była przerażona moim stanem. Prawie nie mówiłem, tylko bełkotałem. Kunze powiedział, że wyjdę z tego jąkania. Powiedział nawet, że ja już z jąkaniem do Krośnic przyjechałem. Było to oczywiste kłamstwo, bowiem w szkole z języka polskiego i z czytania, byłem jednym z pierwszych. Matka zabrała mnie stamtąd ze łzami w oczach.

Szkoła w Krośnicach była... nijaka. Mało chodziłem do szkoły, gdyż więcej przebywałem na „terapiach” medycznych. Zastrzykami faszerowano mnie, dużo i boleśnie. Na pośladkach miałem zrosty o ciemnej barwie. Przy nakłuciu, skóra trzeszczała. Niektóre dzieci miały zapalenie ropne w miejscach iniekcji. Mi robiono kompresy z maści ichtiolowej. Mam pośladki skłute do chwili obecnej, mimo że są już zabliźnione, uszkodzenia skóry są widoczne.

Chodziliśmy ubrani w dresy. Z reguły były one w jednolitej barwie. Nie pamiętam, bym miał z ubrania coś swojego. Była to swoista „uraniłowka”, niczym nie uzasadniona. Nie można było mieć pieniędzy. Obrót „finansowy” był tylko w wyznaczonym punkcie, w sklepiku-kawiarence na Zamku, obok izby przyjęć, lecz bezgotówkowy. Pieniądze zamieniano na bony papierowe z wymienioną kwotą. Niektórym dzieciom rodzice zostawiali jakieś kwoty, ale podczas wykrycia ich posiadania, pieniądze były konfiskowane. Nie mówię, że wszyscy tak robili, lecz często pieniądze te lądowały w kieszeni zabierającego. Nie były wpłacane na konto, lecz przywłaszczane.

Samemu nie wolno było opuszczać pawilonu pod groźbą kary złożonej z ww. zabiegów. Topy, zastrzyki, unieruchomienie na dwa tygodnie w sali chorych. Pamiętam, że przed pawilonem VIII (obok była siódemka) był zadbane plac pełen zieleni, a pośrodku postawiona była długa, metalowa pergola na której rosły róże. Każde moje samowolne opuszczenie pawilonu wiązało się z przykrymi konsekwencjami, wiadomymi w skutkach.

Czasem wychodziliśmy całą grupą lub wychowawca brał dyżur za kolegę w zastępstwie i wtedy szło się w dwie grupy pochodzić. Z reguły zawsze chodziliśmy nad krośnickie jeziora, bardzo piękne zresztą. Jeden raz tylko byłem na boisku przy drodze do Wierzchowic, bo była jakaś spartakiada. Grali starsi chłopcy i wychowawcy. Pamiętam jednego, młodego wychowawcę, Giza miał na nazwisko. „Smalił cholewki” do naszej wychowawczyni, Eli Płaziuk i było to widoczne. Facet był sympatyczny. Może tak uważałem, bo nie znałem go jako mojego wychowawcy. Z tych wyjść grupowych poznałem nieco okolicę. Mam bardzo dobrą orientację w terenie, więc zdecydowanie byłem za opuszczeniem tego „uzdrowiska”.

Uciekałem 4 lub 5 razy. Raz zatrzymano mnie na szosie milickiej. Był deszcz. Ja cały mokry dałem się złapać. Zabrała mnie sanatoryjna karetka. Koniec tej eskapady był wiadomy. Topy i zastrzyki. Innym razem zatrzymano mnie w miejscowości Łazy. Następnym razem, na piechotę udałem się w stronę Krotoszyna. Zatrzymano mnie w Sulmierzycach lub Skalmierzycach. Byłem bardzo zdeterminowany. Ostatni raz uciekłem z sali chorych, w trakcie „kuracji”. Nie dałem rady psychicznie. Niedługo po tym, przyjechała Matka i mnie zabrała.

Nie mogę powiedzieć, że byłem bity. Nie. Nie bito nas. Może były jakieś odosobnione przypadki, ale mnie nic takiego nie spotkało. Tylko z tym Bieroniem alias Bieruniem miałem kilka razy nieprzyjemność. Powiem inaczej. Atmosfera pawilonu, zimno emocjonalne, rozłaka przy jednoczesnym stałym napięciu wywołanym przez zagrożenie znalezienia się na izbie chorych lub w gabinecie Kunzego była nie do zniesienia. Reżim ocen, stałe unikanie „wpadnięcia w oko” wychowawcy lub komuś z personelu było bardziej wyczerpujące psychicznie, niż jakiś kontakt z pięścią. Stagnacja. Powolne oczekiwanie na coś nieuchronnego. Przykrego i sprzecznego z dziecięcą naturą.

Uważam, że państwo PRL wiedziało o tym, do jakich ekscesów medycznych dochodzi w Krośnicach. Sknocono mi w ten sposób

życie. Trzy lata po Krośnicach znalazłem się w zakładach poprawczych na cztery i pół roku. Czułem, że jest ze mną coś nie tak. Zacząłem starać się kontrolować swoje zachowanie, zmuszać się do postaw normalnych. Pożądanych. Nie miałem jako takiego wzorca osobowego. Reagowałem na wyrost. Byłem agresywny. W końcu popadłem w narkotyki. Brałem do 1987 roku.

Pracowałem nad sobą. Przestałem palić (paliłem kompulsywnie, do trzech paczek dziennie), przestałem ćpać, alkoholu nie piłem nigdy. Przestałem reagować histerycznie na zjawiska występujące w życiu. Uspokoilem się duchowo, wypoziomowałem. Ale Krośnice wycisnęły na mnie gorące piętno.

Uważam, że Państwo powinno ujawnić dramat krośnicki. Wiem, że nie jestem sam, że takich jak ja jest wielu. Może ktoś nie chce wracać do tego przez wyparcie. Nie wiem... Ja nie zapomniałem.

Jak trafiłem na wasz artykuł i na Waszą redakcję? Przyśniło mi się (mam 63 lata), że jestem w Krośnicach. Jako dorosły mężczyzna!!! I w tym śnie czułem się bardzo samotny i bezradny, jak wtedy. Nad ranem usiadłem do komputera. zacząłem przeglądać strony na temat Krośnic. Dotarłem do strony NaszeKrosnice.fora.pl, potem artykuł Fundacji WiP. Jestem sobie winien rozrachunek z niechcianą przeszłością. Zamierzam dotrzeć do innych ludzi z tamtych lat i z tego miejsca. Mam na myśli pozew zbiorowy. Chcę wiedzieć, dlaczego nam to zrobiono, czemu nas krzywdzono, skazano na strach i osamotnienie. Ktoś powinien z tego zdać relację publicznie. Niektórym z nas należą się odszkodowania.

Nie wiem, lecz jestem przekonany, że pneumoencefalografia spowodowała m.in. to, że jestem chory neurologicznie. Mam stwierdzone neurologiczne zmiany w mózgu – zachwiania równowagi, pisk w głowie, odrętwienie palców w dłoniach i stopach. Mam stopień znaczny inwalidztwa na stałe. Wymagam obecnie pomocy osób trzecich do egzystencji. Intelktualnie mnie to nie upośledza, ale socjalnie.

Kunze stwierdził u mnie encefalopatię i organiczne uszkodzenie układu nerwowego (OUN), gdy miałem 11 lat, więc inwalidztwo wystąpiło przed ukończeniem 15 roku życia. Niestety, lekarze nie mogą ustalić czasu wystąpienia inwalidztwa.

Mam syna. Też ma, jak i ja, ADHD. Różnica między nami polega na tym, że on miał ciepły, pełny miłości dom i brak tego rodzaju doświadczeń.

Autorstwo: Andrzej Dobrski

Źródło: FundacjaWiP.wordpress.com